

Kac
[Sad], [Slice of Life], [Equestria Divided]
Autor: Malvagio

Błękitny jednorożec powoli otworzył powieki, po czym spróbował podnieść się z łóżka. Niemal natychmiast pożałował swojej decyzji, kiedy jego głowa przy akompaniamencie bolesnego jęku na powrót opadła na poduszkę. Czaszka ogiera promieniowała przejmującym, tępym i rozchodzącym się po całym ciele bólem, a jakby tego było mało, sprawiała również wrażenie wykonanej z ołowiu. Głupia nadzieja, że po wczorajszym pijaństwie jednak uda mu się uniknąć kaca, rozwiała się natychmiast.

Wydarzenia wczorajszego dnia znów przebijały się do jego świadomości przez pozostałości alkoholowej mgły. Pamiętał, jak pił ze swoim kuzynem, Indigo... czy też raczej pił w jego towarzystwie, krewniak bowiem ograniczał się jedynie do stawiania kolejnych kolejek, samemu nie biorąc do pyska nawet kropli. Pamiętał też swoją przyjaciółkę ... i że to właśnie z jej powodu kuzyn namówił go wczoraj na libację.

– Słodka Celestio, Amber... – jęknął, odwracając się na bok i wbijając pozbawione wyrazu spojrzenie w ścianę. Choć jeszcze przed chwilą wydawało mu się to niemożliwe, nagle poczuł się jeszcze gorzej. Myśli o przyjaciółce sprawiały, że czuł się jak przeżuta i wypluta szmata.

Nie powinien tak się czuć. Pił przecież właśnie po to, żeby o wszystkim zapomnieć.

– Kac morderca nie ma serca... – mruknął do siebie, nadkurowym wysiłkiem zmuszając się w końcu do opuszczenia łóżka. Słowa nie należały do niego, mgliście kojarzył, że usłyszał je, lub coś podobnego, od kuzyna. Pamiętał również, że Indigo zaśmiał się wypowiadając je, ale jego śmiech brzmiał dziwnie poważnie.

Spojrzenie jednorożca prześlizgnęło się po zawieszonym na ścianie sztandarze Domu Księżyca i Gwiazdy, który z polecenia Arcymagister Sparkle powinien wisieć w każdym domostwie na honorowym miejscu. Jednorożec niechętnie dźwignął się z pośłania, stłamszony bólem nie zdołał jednak odnaleźć w sobie sił, by należycie uhonorować chorągiew. Jego pysk skrzywił się mimowolnie. Prawdę powiedziawszy, sztandar napawał go dziwną niechęcią... od przyglądania się mu, głowa bolała go tylko jeszcze mocniej.

– Później – wymamrotał, kierując swe kroki do łazienki.

Chłód pomieszczenia przyniósł mu nieco ulgi, ogier wciąż jednak był daleki od stwierdzenia, że czuje się „lepiej”. Nie mogąc zdobyć się na skorzystanie z magii, chwycił zębami leżącą na ziemi miednicę i podstawił ją pod kran, po czym odkręcił kurek. Cichy szum wypełniającej naczynie lodowatej wody w uszach jednorożca przypominał huk wodospadu. Nowa udręka trwała jednak tylko chwilę, miednica bowiem szybko wypełniła się niemal do swojego brzegu i ogier mógł zakręcić kran. Nim zdążył jednak zanurzyć głowę w chłodnej toni, jego uwagę przykuła jej powierzchnia... a raczej odmalowane na niej odbicie.

Ogier zamarł w bezruchu, z lękiem wpatrując się w swój wizerunek. Jego oczom ukazał się zmęczony, wymizerowany pysk, na którym aż za dobrze odmalowane były ślady całonocnej libacji. To jednak nie one były źródłem lęku jednoroźca – tym, co go tak przeraziło, były oczy odbicia, które w żaden sposób nie mogły być wiernym odzwierciedleniem jego własnych.

Spojrzenie płynące z wody przepełniał surowy wyraz, gniew w równej mierze zmieszany z wyrzutem. Oskarżenie. To mogło być tylko oskarżenie, ogier wyczuł to od razu. Mimowolnie mocno przygryzł wargę – wyraz odbicia sprawiał, że czuł się mały... i z całej siły chciałby stać się jeszcze mniejszy, zniknąć, po prostu rozpułnąć się w powietrzu, byle tylko nie musieć dłużej się sobie przyglądać.

Mimo to przez dłuższą chwilę trwał jeszcze w bezruchu, niczym zahipnotyzowany.

– Odejdź... po prostu odejdź... – syknął słabym głosem, znajdując w sobie w końcu siłę, by zamknąć oczy, nabrać głęboko powietrza i zanurzyć głowę w miednicy. Spojrzenie musiało być wynikiem kaca, nie było innej możliwości.

Powtarzając to w sobie w myślach, ogier raz za razem wsadzał głowę pod powierzchnię wody, jak gdyby próbując w ten sposób utopić w niej swoje odbicie.

Z niespokojnego półsnu, w jaki zapadł po wyjściu z łazienki, wyrwało go pukanie do drzwi, początkowo ciche, ale szybko stające się coraz bardziej natrączywym. Jednorożec przywitał je z ulgą – jego letarg zamiast pomóc mu w zregenerowaniu sił, zdawał się miast tego tylko dodatkowo wysysać te resztki, które wciąż jeszcze się w nim tliły. Ogier z trudem zwlekał się ze swego legowiska, przed otwarciem drzwi spoglądając jeszcze przez wizjer. Tajemniczym przybyszem okazała się być klacz, której imienia nie mógł sobie przypomnieć, pamiętał jednak, że była ona jedną z sąsiadek Amber.

„Czego ona może chcieć...” – przemknęło mu przez myśl podczas siłowania się z zamkami. Po uporaniu się z nimi nie zdążył jednak ani o to zapytać, ani nawet dokończyć słowa przywitania, kiedy poczuł na pysku trzask magicznego wyładowania. Uderzenie nie było mocne, ale w swoim obecnym stanie ogier nie był w stanie przyjmować ciosów bez szwanku i zachwiał się na nogach. Przed upadkiem ocaliło go jedynie oparcie się o ścianę.

Telekinetyczny policzek. Największa obelga, jaka mogła spotkać jednoroźca ze strony innego jednoroźca. Gest przeznaczony dla ziemnych i pegazich niewolników, gest ogłaszający dobitnie „nie jesteś godzien mojego dotyku”, gest piętnujący plugastwo.

– Jesteś gnidą, Firehoof! – wysyczała jadowicie klacz, wbijając w ogiera spojrzenie bardzo podobne do tego, jakim obdarzyło go wcześniej odbicie. – Ile wzięłeś? No ile?!

– Ja... – zaczął ogier, nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej, kiedy wymierzony mu został kolejny policzek.

– Milcz! Będę do ciebie *mówić*, a ty będziesz *słuchać*, na pewno nie zniżę się do *rozmawiania* z tobą – sarknęła klacz, prychając pogardliwie i mierząc w ogiera kopytem. – Gnida... wiem, że to twoja sprawka. Amber była twoją przyjaciółką, zaufała ci, a ty tak jej się odpłaciłeś? Plwam na ciebie! – Jednorożka splunęła, trafiając jednak nie w samego ogiera, a w podłogę tuż przy jego kopycie, po czym zaczęła zasypywać go kolejnymi obelgami.

Firehoof, jeszcze przed chwilą wdzięczny za wyrwanie z letargu, teraz modlił się, żeby klacz wreszcie przestała mówić – każde jej słowo odbijało się bolesnym echem wewnątrz jego głowy – i sobie poszła. Gdy tylko zniknie, będzie mógł wrócić do swojego barłogu, zagrzebać się w pościeli i udawać przed samym sobą, że nie istnieje. To byłoby „miłe”.

– Nie myśl sobie, że mnie też tak załatwisz – syknęła klacz, gdy najwyraźniej jej potok inwektyw się wyczerpał. – Bodajbyś szczeł w Tartarze razem ze swoim złotem! – rzuciła jeszcze na odchodne, po czym szybkim krokiem zaczęła się oddalać. Do uszu ogiera doleciały jeszcze niewyraźne słowa: – Trzeba nie mieć sumienia...

Firehoof przez chwilę trwał w bezruchu, by w końcu zamknąć drzwi i doczołgać się pod sztandar Księżyca i Gwiazdy. Ogier jęknął cicho, po czym powoli i metodycznie zaczął uderzać bokiem głowy o ścianę, zupełnie jak gdyby zewnętrznym bólem próbował zagłuszyć ból promieniujący z jego wnętrza.

Trzeba nie mieć sumienia. Ostatnie słowa rozgniewanej klaczy odbijały się echem w jego umyśle. Nie mieć sumienia. Oddałby wiele, żeby uczynić to stwierdzenie prawdziwym. Gdyby go nie miał, wszystko byłoby takie proste. Nie musiałby teraz znosić tej udręki. Udręki, która wcale nie powinna go męczyć!

Przecież postąpił właściwie. Był dobrym jednorożcem i dobrym obywatelem. Amber była jego przyjaciółką, ale była też abolicjonistką, ukrywała w swym domu zbiegłych niewolników i planowała pomóc im w ucieczce. On sam nie miał przekonania do idei niewolnictwa, ale kim był, by kwestionować decyzje Arcymagistera? Amber zwróciła się przeciw jej dyrektywom. Przecież *musiał* ją wydać. Postąpił właściwie! Nie zrobił tego dla pieniędzy, nie odebrał żadnej materialnej nagrody, wypełnił jedynie swój *obowiązek*! Tak *należało* postąpić! Dlaczego pomimo tej pewności czuł się jak ostatni śmieć?

Niejasno przypominał sobie, że Indigo wczoraj go przed tym ostrzegał. Mówił, że słuszne postępowanie nie zawsze jest przyjemne. Łatwo jest dla dobra Equestrii przelewać krew jej zdrajców spoza Księżyca i Gwiazdy. Zwrócenie się przeciw zdrajcom w szeregach samego Domu było trudniejsze. Mogło zbudzić podstępne głosy zwątpienia, chcące odwieść od tego, co *konieczne*. Firehoof wciąż od nowa przekonywał się, że jego kuzyn-inkwizytor nie rzucał słów na wiatr. Nie mógł przezwyciężyć w sobie poczucia, iż istotnie jest jedynie małą, nic nie wartą gnidą. Musiał znaleźć sposób, by je stłumić, odegnać. Przecież postąpił tak, jak przystało na

prawdziwego patriotę! Brzemie było ciężkie, ale musiał je wziąć na swoje barki, nie mógł ulegać pokusie przekładania przyjaźni nad obowiązek!

Pomimo wszystkich swoich wysiłków Firehoof wciąż nie był jednak w stanie przekonać się do własnych myśli. Czuł się, jak gdyby na czole wypalono mu wielkimi literami „SZUBRAWIEC”. Zaprzestał w końcu uderzania głową o ścianę i schował pysk w kopytach.

– Amber, dlaczego musiałaś być taka głupia? – zapytał z wyrzutem w głosie, wbijając wzrok w podłogę. Po chwili jęknął głucho i dźwignął się z ziemi, ostrożnie masując sobie obolałą skroń. Ostatni raz spojrzął na sztandar, po czym chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi. Czuł, że znowu musi się napić. To mu pomoże. Musi mu pomóc.

W końcu na kaca najlepszy jest klin.